

PORANEK

W przeraźliwym śnie, za glinianą ścianą, słyszę ciężkie stąpanie i trzask kłującego posuszu.

To Tamarka znów napiera na mój płot, piękna biała simentalka z rudymi łatami – opora rodziny, która mieszka nade mną, na górcie. Każdego dnia daje trzy butelki mleka – pianistego, ciepłego, pachnącego żywą krową! Gdy mleko kipi, zaczynają mienić się na nim złote lśniące plamki tłuszczu i tworzy się pianka.

Nie powinienem myśleć o takich drobiazgach – nie wiedzieć czemu wciąż zaprzatają mi głowę!

Nastał nowy poranek...

Tak, miałem sen... Dziwny sen o tym, co w życiu nie może się zdarzyć.

Przez wszystkie te miesiące śnią mi się fantastyczne sny. Skąd się biorą? Przecież to, co przeżywam na jawie, jest takie ubogie...

Pałace, sady... Tysiące pokoi – nie pokoi, lecz komnat z baśni Szeherazady; z żyrandolami w błękitnych ogniach – nietutejszych ogniach, ze srebrnymi stołami, na których leżą stopy kwiatów – nietutejszych kwiatów. Chodzę i chodzę po komnatkach, szukam... Nie mam pojęcia, kogo poszukuję w tak wielkich męczarniach. Wyglądam

z tęsknotą i lękiem przez ogromne okna: za nimi są sady, z kałużami, z zieleniącymi się dolinkami, jak na starych obrazach. Słońce jakby świeci, ale to nie jest nasze słońce – jakieś podwodne światło na wyblakłej blasze. I wszędzie kwitną drzewa, nietutejsze: nadzwyczajnie wysokie bzy, z wiszącymi na nich bladymi dzwoneczkami, zwiędnięte róże... Widzę przedziwnych ludzi. Chodzą ze śniętymi twarzami, po komnatach, w wypłowiłych szatach – jakby żywcem zdjęci z ikon, razem ze mną wyglądają przez okna. Coś mi podpowiada – czuję to poprzez tępy ból – że mają za sobą straszne przeżycia, wyrządzono im krzywdę i są poza życiem. Są już nietutejsi...

W tych niesamowicie wytwornych komnatach towarzyszy mi smutek, który jest nie do zniesienia...

Cieszę się z przebudzenia.

To oczywiście ona – Tamarka. Mleko w niej kipi... Nie powinienem myśleć o mleku. A co z chlebem powszednim? Mamy zapas mąki na kilka dni... Jest dobrze ukryta w szczelinach – teraz niebezpiecznie trzymać coś na widoku: przyjdą nocą... W ogródku rosną pomidory; co prawda są jeszcze zielone, ale wkrótce się zaczerwienią. Jest też dziesięć krzaków kukurydzy, zawiązuje się dynia... Wystarczy, nie powinienem o tym myśleć!

Tak bardzo nie chce mi się wstać! Łamię mnie w całym ciele, a mimo to muszę chodzić po wąwozach, rąbać „kutiuki”¹, dębowe kłacza.

¹ *kütük* (tur.) – polano, kawałek drewna, kikot (wszystkie przypisy pochodzą od tłumacza).

Tamarka znów jest przy płocie! Słysząc sapanie, smagające gałęzie... Obgryza migdałowiec! Za chwilę podejdzie do bramy i zacznie napierać na furtkę.

Zdaje się, że podparłem ją kołkiem... Ale w zeszłym tygodniu razem z kołkiem ją wypchnęła, zdjęła z zawiasów, gdy wszyscy spali, i wyżarła połowę ogródka.

To oczywiście przez głód. Wierba nie ma siana, trawa dawno uschła, został tylko obgryziony grab i kamienie. Tamarka musi do późnej nocy błąkać się po głębokich wąwozach i nieprzebytych gęstwinach, żeby znaleźć coś do jedzenia. I tak błąka się i błąka...

Muszę wstać bez względu na wszystko. Jaki dziś dzień?

Miesiąc – sierpień. A dzień... Teraz dni nie są do niczego potrzebne, kalendarz też nie jest potrzebny. Więźniowi z karą bezterminową jest wszystko jedno!

Wczoraj słysząc było bicie dzwonów w miasteczku. Zerwałem zieloną kalwilę i przypomniałem sobie: „Przemienienie Pańskie”. Stałem z jabłkiem w wąwozie... Przyniosłem je i położyłem cicho na werandzie.

Przemienienie... Kalwila leży na werandzie. Od niego można teraz odliczać dni, tygodnie...

Muszę zacząć dzień, uciec od myśli. Muszę tak bardzo wciągnąć się w wir codziennych błahostek, żeby bez zastanowienia powiedzieć do siebie: kolejny dzień został zabity! Ociężałe, jak katorżnik z bezterminową karą, narzucam na siebie łachmany – moją miłą sercu przeszłość porozrywaną w gęstwinie. Każdego dnia muszę chodzić po wąwozach, wdrapywać się z siekierą

po stromiznach: zbierać opał na zimę. Po co? Nie wiem. Żeby zabijać czas.

Kiedyś marzyłem o tym, żeby zostać Robinsonem – i stałem się nim. Gorzej niż Robinsonem. On miał przed sobą przyszłość, nadzieję: a nuż pojawi się punkt na horyzoncie! My nie będziemy mieć żadnego punktu, nigdy. Ale mimo wszystko trzeba chodzić po opał. W długą zimową noc będziemy siedzieć przy piecyku i wpatrywać się w ogień. W ogniu zdarzają się przywidzenia... Przeszłość wybucha i gaśnie. Przez te tygodnie uzbierała się sterta chrustu, schnie. Potrzeba go znacznie więcej. Zimą przyjemnie będzie rąbać chrust na kawałki! Będą odskakivać! Pracy starczy na całe dni! Trzeba korzystać z pogody. Teraz jest dobrze, ciepło – można chodzić boso albo w drewniakach. Ale gdy tylko zawieje od Czatyrdahu i zaczną padać deszcze... Wtedy niedobrze jest chodzić po wąwozach.

Wkładam łachmany. Handlarz staroci uśmieje się z nich, wepchnie je do worka. Cóż sobie myślą ci handlarze staroci! Gotowi są zaczepić na haczyk nawet żywą duszę, żeby ją wymienić na marne grosze. Z ludzkich kości nagotują kleju na przyszłość, z krwi upitraszą „kostki” do bulionu... Handlarze staroci mają teraz używanie, są odnowicielami życia! Szurają po nim żelaznymi hakami.

Moje łachy... Ostatnie lata życia, ostatnie dni – rzucam na nie ostatnie pieśzcotliwe spojrzenie. Nie oddam ich handlarzom staroci. Zmarnieją na słońcu, zbutwieją w deszczach i wiatrach, na kłujących krzewach w wąwozach, przy ptasich gniazdach...

Trzeba otworzyć okiennice. Jakiż to mamy poranek? Jaki może być poranek na Krymie, nad morzem, na początku sierpnia?! Oczywiście słoneczny. Oślepiąco słoneczny, tak wspaniały, że aż boli od patrzenia na morze: kłuje i uderza w oczy.

Ledwo uchylicz drzwi i w przymrużone oczy, w wymiętą, więdnącą twarz natychmiast tryśnie nocna świeżość górskich lasów, górskich dolin, przeniknięta, przesiąknięta osobliwą krymską goryczką, odstaną w leśnych zakamarkach, która zerwała się z łąk, z Jajły². To ostatnie fale nocnego wiatru: wkrótce powieje od morza.

Witaj, miły poranku!

W łagodnie opadającym wąwozie przypominającym łąbę kryje się wciąż zacieniona, świeża i wilgotna winnica, gdy tymczasem gliniasta skarpa naprzeciwko jest już różowoczerwona niczym świeża miedź, a czubki młodych grusz poniżej winnicy oblał purpurowy glans.

Piękne są te młode drzewka!

Przystroili się, nabrały złotego koloru, poobwieszały się ciężkimi paciorkami-gruszkami – „Maria Ludwika”.

Wypatruję ich z trwogą... Są całe! Szczęśliwie przetrwały kolejną noc, wciąż wiszą. To nie zachłanność, to przecież dojrzewa nasz chleb, nasz chleb powszedni.

Witajcie i wy, góry!

² Nazwa „Jajła” w odniesieniu do Gór Krymskich oznacza płaskie szczyty górskich masywów. Terminem „jajła” określa się także letnie pastwiska w subalpejskiej i alpejskiej strefie gór.

Kieruję wzrok ku morzu, widzę małą górę Kastel, twierdzą wznoszącą się nad winnicami, których sława sięga hen, daleko. Rośnie tam złocisty „sotern” – jasna krew góry, oraz gęste „bordo” pachnące safianem, suszoną śliwką i krymskim słońcem! – ciemna krew. Kastel osłania swoje winnice przed zimnem, nocami grzeje żarem przechwyconym za dnia. Teraz ma na sobie różową czapę, a poniżej jest ciemna, cała zalesiona. Na prawo, w oddali, widnieje forteczna pionowa ściana, goła Kusz-Kaja, górski plakat. O poranku – różowy, przed nadejściem nocy – niebieski. Wszystko w siebie wchłania, wszystko widzi. Tajemnicza ręka nanosi na niego kontury. Jest wiele wiorst stąd, a wydaje się, jakby był blisko. Wyciągniesz rękę i zdołasz go dotknąć: wystarczy puścić się dołem przez dolinę i już pojawiają się wzgórza – wszędzie są sady, winnice, lasy, wąwozy. Unoszący się nad nimi kurz wskazuje ślad drogi: w stronę Jałty pędzi automobil.

Jeszcze bardziej na prawo zauważasz mechatą czapę lesistego Babugana³.

Porankami mieni się złotem, najczęściej jednak bije po oczach mroczną czernią. Na jego zboczach dostrzegasz szczytyny lasów sosnowych – wtedy, gdy słońce pławi się za nimi i migocze. Stamtąd nadciąga deszcz. Właśnie tam słońce zachodzi.

Odnoszę dziwne wrażenie, że z mrocznej czerni Babugana napływa noc...

³ Pełna nazwa brzmi: Jajła Babugan (ros. Babugan-jajła).

Nie powinienem myśleć o nocy, o złudnych snach, w których wszystko jest nietutejsze. Wrócą w nocy. Poranek przerywa sny: oto ona, goła prawda – pod nogami. Przywitaj ją modlitwą! Poranek otwiera dale... Nie powinienem patrzeć w dale: dale są złudne, tak jak sny. Mamią i nic nie dają. Jest w nich wiele błękitu, zieleni, złota. Nie potrzebuję bajek. Prawda jest tutaj – pod nogami.

Wiem, że w winnicach, pod Kastelem, nie będzie winogron, w białych domkach jest pusto, a po lesistych wzgórzach zostały porzucane ludzkie życia... Wiem, że ziemia nasiąknęła krwią, przez co wino wyjdzie cierpkie i nie zapewni radosnego zapomnienia. Stojąca niedaleko stąd szara ściana Kusz-Kaja zapisała w sobie potworne zdarzenia. Przyjdzie czas, w którym zostanie to odczytane...

Już nie spoglądam na dale. Patrzę za swój wąwóz. Tam są moje młode migdałowce, a za nimi pustka. Kamienisty skrawek ziemi, który całkiem niedawno zamierzał żyć, leży teraz zabity. Czarne rogi winnicy zostały zniszczone przez krowy. Zimowe ulewy ryją na niej drogi, tworzą fałdy. Sterczą wyschnięte już biegacze stepowe: zaczną skakać, jak tylko zawieje Północ. Stara tatarska grusza „buzdurban”, dziuplasta i krzywa, latami kwitnie i usycha, latami rozrzuca wokół siebie miodowe buławy, wciąż czeka na podmianę. Podmiana nie nadchodzi. Ona jest uparta, wciąż czeka, napęlnia się, kwitnie i usycha.

Przyczajają się na niej jastrzębie. Podczas burzy lubią kiwać się na niej wrony.

A oto bielmo na oku, kaleka. Kiedyś Jasna Górka, mała dacza nauczycielki z Jekaterynosławia. Stoi – krzywi się. Złodzieje już dawno ją ogołocili, wybili okna – i oślepla. Tynk się sypie, pokazuje żebra. A na wietrze wciąż trzęsą się szmaty, rozwieszane niegdyś, by wyschły – kiwają się na gwoździach przy kuchni. Gdzie teraz jest troskliwa gospodyni? Gdzieś jest. Pod ślepą werandą rozrosły się śmierdzące octowce. Mała dacza jest wolna i opuszczona – zadowił się w niej paw.